

Rosja i inne sprawy

23 czerwca 2008

Za 15 minut odjazd. Za 15 minut odjeżdża nasz pociąg do Czity – legendarna Kolej Transsyberyjska. Mamy jechać 96 godzin, 4 dni i 4 noce. 5000 km w jednym pociągu, o którym przed wyjazdem wiedziałem nie więcej niż to, że robotników pożerały tygrysy podczas budowy trasy nad Amurem. Naprzeciw mnie siedzi filigranowy Buriat z Ułan-Ude. Jechał tydzień do Moskwy na egzaminy na studia. Nie zdał. Teraz wraca do domu.

* * *

Nie wyobrażałem sobie tygodnia w jednym pociągu. Tydzień, dzień i noc w tym samym, masywnym rosyjskim wagonie, w którego ciężkie blachy grzeje niemiłosiernie ostre słońce. Dla kogoś, kto nie może usiedzieć w jednym miejscu paru godzin, perspektywa podróży najsłynniejszą koleją świata zdaje się katorgą.

15 minut do odjazdu na Dworcu Jarosławskim. Biegam jak szalony w poszukiwaniu czegoś, co uchroni mnie przed niemalże pewnym zwariowaniem. Może szachy, gazety, gry, karty? 10 minut do odjazdu. A jeszcze zapomniałem tego i tamtego. Tłum ludzi. W tę i w tamtą. A coś do jedzenia? Czy będzie można tam coś kupić? Skoczę po pielmnieni. A może bliny, frukty, chlebuszek, syry, kolbaski, napitki?

Na Dworcu Jarosławskim cała Rosja, cała Rasia, zdaje się być skumulowana, opieczętowana i zminiaturyzowana. Mam wrażenie, że gdyby nawet odkroić całą resztę aż po Pacyfik, zachowałoby się tutaj to, co rosyjskie, tak, że można by przysiąc na Dworcu Jarosławskim i popatrzeć sobie na całą Rosję...

W tle majaczy Pałac Kultury. Taki, jak u nas w Warszawie. A może nawet dwa, już nie pamiętam. Z głośników zamontowanych w potężnej bryle dworca trzeszczą bez przerwy wschodnie melodie, do złudzenia przypominające polskie disco-polo z początku lat

dziewięćdziesiątych. Skręcam w prawo, za winklem piosenka z poprzedniego głośnika przechodzi w kolejną z innego, przeciskam się koło tłumu przy tureckiej szawarmie, przy kantorze dudni inna melodia, by zniknąć po krótkiej chwili na rzecz kolejnej, w podziemnym przejściu wypełnionym bazarem i grupą mężczyzn w kaszkietach energicznie, wręcz nerwowo tasujących grube, stare pliki białoruskich i rosyjskich rubli. Musi iść o sporą kasę, bo niektórym z nerwów nabrzmiały żyły na czole. Pewnie to cinkciarze. Po lewej Rosjanie jedzą obiad. Na stoliku stoi karafka wódki na trawienie i kiszzone ogórki. Zatrzymam się chwilę przy żółtej beczce z kwasem chlebowym. Zawsze się zatrzymuję. Majstersztyk. Lubię Rosję za kwas chlebowy. Szkoda, że u nas został zapomniany. Nic tak nie gasi pragnienia jak szklaneczka kwasu. W wiekach średnich był rozpowszechniony w całej Europie. Od XVI w. jest narodowym napojem Rosji.

Życie na Dworcu Jarosławskim wielu nazywa prowincjonalizmem, kiczem i zaściankowością. Uwielbiam patrzeć na tę zaściankowość, kicz i prowincjonalizm. Pamiętam podobną zaściankowość, kicz i prowincjonalizm w mojej rodzinnej miejscowości. Bardzo je lubiłem.

Już po burzy, ale ciągle bardzo duszno. Nad nami czyste niebo, ale tuż za strzelistym gmachem pałacu kultury ostre błyski raz po raz rozcinają kawał czarnych chmur. W lipcowym słońcu po burzy z kałuż wzbijają się opary, pomiędzy którymi przemykają stare sandały, kasztanowe, podstarzałe kantki, wytarte marynarki, pijackie mokasyny. Czasem rzucą się w oczy drogie szpilki i wypolerowane półbuty z ostrym, zadziornym czubem. To idzie Moskwa bogata. Moskwa bogata idzie rzadziej. Moskwa nowobogata jeździ lśniącoymi Mercedesami i BMW.

Wschodni bazar – pokrzykiwania, kobiety w chustach z pulchnymi torbami pełnymi zakrętek, ściereczek, butelek, gąbek, zatyczek, tkanin, słoików, szczotek, warzyw, owoców, stoiska z kasetami magnetofonowymi, gorący asfalt, spoceni ludzie, zapiekanki.

Przeciskam się w stronę wagonów. Mijam północno-białe trójkąty męskich klat pod rozpiętymi po brzuch czarnymi koszulami, mijam agresywne szminki, okrągłe, błękitne oczy, wystające kości policzkowe, mijam jasne blond, proste, podskakujące grzywy, opalone karki, zakapiorskie gęby.

Za 5 minut odjazd. Który wagon? Trzeci, na samym początku! Biegiem wzdłuż całego pociągu. Zdążymy. Przy wejściu prowadnik – konduktor i zarazem najważniejsza osoba w wagonie – sprawdza bilety i wskazuje nasze łóżka.

* * *

Rozejrzę się chwilę po wnętrzu. Nie różni się wiele od pociągu, jakim jechałem z Brześcia do Moskwy. To klasa placartnyj. Wagon podzielony jest na boksy, w których prostopadle do osi wagonu rozstawiono dwa łóżka ze stolikiem na środku. Nad nimi do ścianek boksu zamontowane są kolejne dwa, nad którymi wiszą półki na bagaż. Najlepiej jest na łóżkach na dole. Można schować bagaż do kufra pod sobą, poza tym w dowolnej chwili posiedzieć, podczas gdy pasażerowie z góry mogą mieć z tym problem, gdy na całym dolnym łóżku śpi sąsiad. Zawsze jeżdżę po Rosji plackartą. Jest tania, komfortowa i najbardziej sprzyja integracji. Poza nią istnieją klasy obszczij z drewnianymi siedzeniami (tylko na krótkich trasach), i wyższe – kupe – zamknięte przedziały z kuszetkami, oraz lux – podobne do poprzedniej z licznymi udogodnieniami, z cenami zbliżonymi do biletów lotniczych.

Na przedzie pociągu znajduje się wagon restauracyjny, do którego trzeba się przedzierać przez biegające dzieciaki, otyłe kobiety, wąskie korytarze, ławirując pomiędzy ludzkimi kończynami sterczącymi ze wszystkich stron, na różnych poziomach i pod wszystkimi kątami. Jest też toaleta. Opisanie przeżyć i komicznych przygód przeżytych podczas korzystania z tego przybytku zajęłoby mi co najmniej podobną relację.

– Izwinitie, coś mi się wydaje, że w moim przedziale okno się

nie otwiera, a skwar okropny – zwróciłem się do umundurowanego prowadnika.

– Nie otwiera się?! Zaraz zobaczymy.

– No faktycznie, nie otwiera się – stwierdził na miejscu. Czekaaj, przyniosę siekierę.

– To okno otwiera się tylko raz – oświadczył stanowczo zamachując się toporem, obracając wszystko po chwili w żart z szeroką klawiaturą naturalnych i złotych zębów.

Kleję się do siedzenia. Odklejam się tylko po to, żeby zaraz znów przykleić. Duchota. W jasnym promieniu południowego światła leniwie opadają drobiny pyłu i kurzu. Sąsiedzi przy oknie cedzą grubym basem ospałe słowa i zdania. Każdą wypowiedź poprzedza dłuższa pauza. Często gardłowe stęknienie zastępuje pytanie albo potwierdzenie.

Wszystkie pociągi w Rosji poruszają się po szerokich torach. Są zdecydowanie większe od naszych. Na przedzie lokomotywy widnieje dumnie czerwona gwiazda – nienaruszony do dziś, nieodłączny symbol poprzedniego systemu. Wreszcie ruszamy. Wolno i ciężko. Pierwsze kilometry na wschód od Moskwy. Na wschód od Moskwy – od samego początku brzmiało to dla mnie nad wyraz egzotycznie. Moskwa była pewną barierą, granicą. Za Moskwą była gdzieś Azja. Zaraz za smutnymi blokowiskami stolicy pojawiają się rosyjskie dache, działki, na których miasto spędza wolny czas. Z perspektywy pociągu wyglądały identycznie jak w podręcznikach do języka rosyjskiego – przykładnie zielono, Sasza zbiera borówki, Masza grzyby, a babuszka ich wita w ogrodzie pielmieniami. Świetlistą zieleni przerywa stacja w Jarosławiu. Szaro, brudno, biednie. Gdy odjeżdżamy, za oknem przesuwają się odrapane budynki z napisem Achtung pod szkieletami upiornych fabryk...

Budowa tej trasy zajęła 26 lat. W 1891 r. car Aleksander III zatwierdził plan jednego z największych osiągnięć architektonicznych świata. Prace prowadzono jednocześnie z

dwóch stron. Robotnikami, w liczbie prawie stu tysięcy, byli głównie więźniowie i zesłańcy, także Polacy. Do 1904 r., kiedy zakończono budowę Kolei Krugbajkalskiej, pociągi przewożono przez Bajkał na dwóch lodołamaczach. Właściwa Kolej Transsyberyjska, łącząca Moskwę z Władywostokiem – pociąg „RASIIA” nad Pacyfikiem, odjeżdża ze stolicy co dwa nieparzyste dni, pokonując 9332 km w siedem dni i osiem nocy. Utarło się jednak w ten sposób nazywać wszystkie pociągi dalekobieżne kursujące wzdłuż tej trasy.

Kolejne dni mijają w tym samym rytmie. Cały czas śledzę na mapie trasę naszej podróży. Za oknem wypatrujemy w niskim, zalesionym Uralu tabliczki 1777 km, wyznaczającej granicę między Europą a Azją. Jeden dzień różni się od drugiego nazwami stacji za oknem. Pociąg zatrzymuje się na ok. 20 minut, trzy razy dziennie. W międzyczasie śpi się, je, idzie po herbatę do samowaru koło kajuty prowadnika, rozmawia, patrzy. Patrzy. W Kolei Transsyberyjskiej dużo się patrzy i obserwuje. Jest na to czas. Niekiedy zmieniają się pasażerowie. Jedni wysiadają w Permie, inni wsiadają. Jedni jadą dwa dni, inni siedem. Jedni wysiadają w Krasnojarsku, innych czeka dalsza podróż do Magadanu samolotem. Jedni wskakują w dresy i wślizgują się w klapki, inni gorączkowo poprawiają fryzury, dopinają paski i przecierają poślinioną ścierką buty przed wyjściem z pociągu. Wsiadają ciągle w tym samym kraju, z tymi samymi tramwajami i tym samym kwasem chlebowym. Kilka stref czasowych od siebie. Wszystkie pociągi w Rosji jeżdżą według czasu moskiewskiego. Ostatniego dnia za oknem już świta, gdy na zegarku wskazówki ciągle sterczą przy dwudziestej trzeciej. Inni próbują walczyć z nasilającą się nudą. Grają w karty, warcaby, szachy, na gitarach, śpiewają, dyskutują, czytają, piją wódkę. W kolejach byłego ZSRR bardzo często widzi się stoliki zastawione, załadowane, dosłownie zawałone przeróżnymi wiktuałami – słoniną, kiełbasą, boczkiem, skapującymi z blatu pomidorami, grzybkami, chlebem, ogórkami kiszonymi, cebulą, czosnkiem, kawiozem, śledziami, wędzonymi rybami, roznoszącymi silną woń po całym wagonie.

Rosjanie nie piją bez zagryzki.

– Panie prowadniku, nie dałoby się zmienić tych melodii z głośnika? – pytam błagalnie konduktora, gdy trzeci dzień z kolei idą te same piosenki od rana do wieczora.

– Nie da rady. Tą kasetą zarządza naczelnik – odpowiada, leniwie się podnosząc ze swojej leżanki.

Na stacjach pasażerów oblegają babuszki niczym na kolorowym jarmarku, oferując koszyki warzyw, owoców, serów, napojów, blinów, pirożków, chleba, słodyczy, ryżu, kurczaków, świeżych ryb, ziemniaków, kwaśnego mleka. Dla wielu z nich to jedyne źródło dochodu. Syberia nie jest gościnną krainą. Na jednej ze stacji zostały brutalnie przegonione przez milicję, uciekając w popłochu. Państwo walczy z nieodprowadzaniem podatków, pozbawiając tych ludzi ostatniej szansy na zarobienie pieniędzy na życie. Na jedzenie. Na więcej i tak nie starczy. Sybiracy to hardzi ludzie. Bieda i srogi klimat hartują, luksusy rozpieszczają i osłabiają.

Za oknem przewijają się świetliste łąki, bagna, stepy, białe pnie brzošek, drewniane chałupy z ozdobnymi, niebieskimi okiennicami, charakterystycznymi dla Syberii. Pojawiają się i szybko znikają zapadłe wsie, rozpadające się chałupy, szlabany kolejowe czasem obok budki dróżnika, czasem bez, z pustymi drogami prowadzącymi nie wiadomo skąd i dokąd. Jeśli nad którąś siadła mgła, wydaje się, że bez wątpienia donikąd. Nigdy wcześniej i później, nigdzie indziej nie zdarzyło mi się odczuć takiego wyobcowania, jak tutaj. Nigdy wcześniej i nigdzie indziej, nawet teoretycznie bardziej egzotyczne miejsca nie wydały mi się tak odległe, obce i trochę odpychające. To chyba kwestia długiej podróży lądem. Współczesne samoloty nie nadają się do podróży. Najpiękniejsze podróże można odbyć tylko lądem. Najpiękniejsze podróże odbywano statkiem, piechotą, na zwierzętach albo pociągiem. Gdy podróżujesz lądem, delektujesz się każdą godziną, każdym kilometrem, każdym dniem, każdą nocą dalej od domu. Podróżując

samolotem oszukujesz odległość, samolot oszukuje ciebie.

Zatrzymujemy się w Jekaterynburgu. W 1918 r. zgładzono tu rodzinę carską Romanowów.

Gdzieś za Nowosybirskiem pojawia się tajga. Tajga jak z obrazów Szyszkina. Na jego obrazach, „W sosnowym lesie” albo „Gęstwina”, tajga jest zimna i gęsta, poszarpana przez konary i gałęzie, omszała, gruba, tęga i czasem zamglona. Tak jak za oknem.

Naprzeciwko mnie siedzi od kilku godzin Paweł, 40 lat, instruktor turystyki. Jedzie na spływ Irkutem. Jest bezpośredni i otwarty, jak wszyscy w wagonie. Na tyle otwarty i bezpośredni, żeby podejść do obcego człowieka, zapytać skąd, dokąd, jak się podoba i postawić na stole flaszkę wódki. Jest bardzo wysoki i chudy, co nie pozwala mu utrzymać wyprostowanej postawy. Ma na sobie nieco za ciasny, sprany podkoszulek marynarski w biało-błękitne poprzeczne pręgi. Jego głowę pokrywa roztrzepana gęstwina kruczoczarnych włosów. Cały czas skapują mu z gęstej brody na blat krople piwa, które łapczywie wychyla pomiędzy głośno wypowiedzianymi zdaniami. Wygląda jak drwał i mimowolnie kojarzy mi się z bajką „Wilk i Zając”.

– A ja tam jestem zadowolony – opowiada o sytuacji w kraju. – Nareszcie mamy prezydenta – z dumą mówi o Putinie. A dawaj, u nas jest rabota. Wiesz ile jest roboty w Moskwie? Jak u was nie ma, to przyjeżdżajcie do nas. W Moskwie jest co robić! – peroruje z przekonaniem.

Wieczorem w moim boksie dołączają do nas inni – jego narzeczona, Buriat z Ułan Ude wracający z egzaminów, człowiek czytający cały czas pisma religijne, kompletnie pijany przewodnik Sasza. Dzisiaj jest Dzień Kolejarza. Drugi z przewodników zaległ w kajucie. Wszyscy są bardzo życzliwi. Rosjanie uwielbiają śpiewać. Śpiew jest nieodłącznym elementem każdej biesiady. Biesiada bez śpiewu nie byłaby udaną, w ogóle

nie byłaby biesiadą. Nikt nie krępuje się częstować jedzeniem i piwem ze stołu, zgodnie z rosyjskim obyczajem. Późną nocą Paweł zaczyna zawodzić rzewne ballady o Bajkale. W powietrzu unosi się coś nieuchwytnego, coś, co próbuje się nieudolnie definiować jako dusza słowiańska, duch słowiański. Nie jest łatwo odnaleźć duszę słowiańską, a jeszcze trudniej ją zrozumieć.

Zrozumienie i dusza słowiańska, racjonalność i dusza słowiańska – nie idą ze sobą w parze. Zupełnie się wykluczają. Dziś jestem pewien, że wtedy, gdy Paweł śpiewał syberyjskie ballady, a za oknem majaczyły czarne połacie tajgi pod rozgwieżdżonym niebem, dokoła sączyło się coś niecodziennego. Duszy słowiańskiej nie czuć na co dzień. Codziennosc i powszechnosc nie są cechami słowiańskosci. Dusza słowiańska jest w uśpieniu, czasem w letargu, czeka na odpowiedni moment, cierpliwie wyczekuje chwili, kiedy może się swobodnie ujawnić. Ujawnić to złe słowo – wybuchnąć, eksplodować, czeka na chwilę, gdy może człowiekiem zawładnąć całkowicie...

* * *

Sliudianka jest niedużym, smętnym miasteczkiem przemysłowym nad brzegami Bajkału. Liczy około 30 tysięcy mieszkańców. Z pociągu wysiadam około 5 rano. Słońce jeszcze czai się za górami. Przed wschodem słońca kolory są głębsze, góry ciemnozielone, a wody najgłębszego jeziora świata bardziej granatowe niż zwykle. Na wagonach przewalają się tony tęgich, mokrych drzew i jednolicie czarnego węgla, który już za chwilę zacznie agresywnie błyszczeć. Wschodzi słońce, oświetlając dworzec zbudowany z białego i różowego marmuru. Przy wejściu na zimnym betonie dopala papierosa bosy, umorusany chłopiec z prostymi, jasnymi włosami. W porannym mroku niewielki żar przy ustach raz to rośnie, raz przygasa w rytm silnych pociągnięć. Ma najwyżej 6 lat. Na posadzce leży sporo obdartych ludzi. Powoli wstają.

W Sliudiance udaje nam się wynająć GAZA.

– Kiedyś byłem w wojsku za ZSRR – opowiada kierowca, Buriat w średnim wieku. – Siedziałem na Kubie, w NRD, a teraz nie ma roboty. Dużo ludzi się rozpiło. Ale próbujemy przyciągnąć zagranicznych. Budujemy tu chałupy koło gorących źródeł – kontynuuje.

Włącza nam buriackie melodie na kasecie magnetofonowej.

– Nic z tego nie rozumiem. Ja już mówię tylko po rosyjsku. Ale jestem Buriatem, nie Ruskim – tłumaczy, zwalniając przed stadem bydła na drodze.

Buriację ze stolicą w Ułan Ude, jeden autonomicznych regionów Rosyjskiej Federacji, zamieszkują głównie Buriaci, lud pochodzenia mongolskiego (około 500 tys. mieszkańców), coraz częściej akcentujący swoją odrębność i przywiązanie do szamanizmu. Za oknem raz po raz pojawiają się ozdobione kolorowymi szmatkami święte drzewa obo. Religia nakazuje zatrzymanie się przy takim miejscu, zamoczenie palca w kieliszku wódki, spryskanie w cztery strony świata i wypicie przynajmniej jednego toastu. W przeciwnym razie można się narazić duchom. Większość Buriatów jest wierzących i praktykujących.

Częściowo szutrową drogą suniemy dnem potężnej Doliny Tunkińskiej. Potężnej jak całe pasmo Sajanów, jak cała Rosja. Określenie „mały” nijak nie pasuje do Rosji, nijak nie wpisuje się w jej krajobraz. W Rosji małe budynki, kręte uliczki, ciche zaułki, przytulne miasteczka, kłóciłyby się z całą otaczającą rosyjskością. W Rosji po prostu trzeba wszystko robić duże, spróbować choć trochę wpisać się w przestrzeń i zaznaczyć swą obecność, nie dać się przygnieść i zmiażdżyć, choć trochę zaakcentować swój byt i swoje miejsce w tej nierównej konfrontacji, a w zasadzie tak naprawdę najlepiej starając się jej uniknąć, pragnąć być jedynie pełnoprawnym i równorzędnym partnerem. Małość w Rosji byłaby wbrew naturze człowieka.

Dolina Tunkińska, której dnem płynie Irkut, ciągnie się na odcinku około 200 km. Zamieszkuje ją ok. 30 tysięcy ludzi, z których 53% stanowią Buriaci, a pozostali to niemal wyłącznie Rosjanie. Obszar ten jest aktywny sejsmicznie i tektonicznie, co tłumaczy dużą liczbę źródeł mineralnych, także gorących, jakie oglądaliśmy po drodze. Dolina znana jest z wielu świątyń buddyjskich – dacanów, ze źródeł oraz z roślin leczniczych, sprzedawanych na bazarach. Od północy dolinę zamyka pasmo Golców Tunkińskich, nie bez przyczyny nazywanych czasem Alpami Tunkińskimi.

Wyniosły i rozległy grzebień Sajanów rośnie z każdym kilometrem. Trzeba coraz wyżej podnosić głowę, coraz bardziej przekręcać ją w lewo i prawo, wreszcie w samochodzie schylać się i marszcząc czoło, wysoko podnosić żrenice, żeby zza szyby dojrzeć postrzępione wierchy. Golce Tunkińskie bielą się poszarpanymi graniami, opatulonymi kępami wilgotnych, sinych chmur. Golce Tunkińskie prezentują wysokogórskość w najczystszej postaci. W Golcach Tunkińskich ludzie nie zdołali zakamufłować surowości, grozy i tajemniczości gór. Tych trzech nieodłącznych przymiotów gór wysokich nie sposób wyplenić. Można je co najwyżej zakamufłować i przytłumić. Golce Tunkińskie są ostentacyjnie surowe, prawdziwie groźne i w starym, dobrym stylu tajemnicze.

Zresztą góry najlepiej prezentują się z dołu. Zawsze powtarza to mój ojciec (do dziś nie wiem, czy mówi to zupełnie szczerze, czy po prostu nie chce mu się wychodzić do góry). Tylko z dołu widać ich potęgę. Wyżej szuka się czego innego – surowości, piękna, bezwzględności, tajemniczości, przestrzeni, wolności. Potęgę najlepiej smakować na dole. Najwyższym szczytem Sajanów jest Munku Sardyk (3491 m n.p.m.) – święta góra Buriatów – w którego masywie leżą trzy lodowce. Nazwa oznacza „wieczny”, a starsi Buriaci wierzą, że na szczycie nie stanął jeszcze żaden człowiek. W rzeczywistości wierzchołek zdobył jako pierwszy, od zdecydowanie łatwiejszej, mongolskiej strony rosyjski geograf G. Radde w 1868 r., dokonując pomiarów

i ustalając grubość lodowca na 85 metrów.

Po kilku godzinach docieramy do wsi Mondy. Kupujemy zapas chleba, rozpalamy ognisko i przygotowujemy obiad. Jeszcze dziś chcemy się dostać do mostu na Białym Irkucie, skąd rozpoczniemy wędrówkę na szczyt.

– Ale zdajecie sobie sprawę, że tam dziś jest dobrze, a jutro już może być śnieg? Bądźcie ostrożni – ostrzega nas kierowca GAZA, z którym podjeżdżamy kilka kilometrów.

Do Jeziora Echo podążamy za kopcami z kamieni wymalowanymi na czerwono sprayem, ustawionymi przez rosyjskich studentów. Wędrujemy wąskim wąwozem, który po kilku godzinach marszu opuszczamy kierując się w prawo, stromo pod górę, błotnistym, obsuwającym się piarżyskiem. Rozbijamy namioty nad potokiem. Robi się ciemno. Wokół porozrzucone niezwykle tajemniczo sterty jedzenia – mąka, ziemniaki, marchew, makarony. Wyglądają jak rozszarpane przez niedźwiedzie.

Cały kolejny dzień wędrujemy szeroką, trawiastą doliną, pokonujemy dwa progi skalne, a wieczorem rozbijamy biwak nad turkusowymi wodami jeziora. Pomiedzy ostrymi turniami i zerwami skalnymi suną gęste, mlecznobiałe kłęby chmur. Przewalają się przez grzbiety, przetaczają przez wypiętrzenia grani, gęstnieją, wypełniają kotliny. Dokoła co chwilę dudnią spadające głazy. Tu kończą się kopczyki. Kończą się też żarty.

Leżę zawinięty w ciepły śpiwór, podświadomie dociągając wszystkie sznurki, wobec wyjątkowo dziś obcej i zimnej przestrzeni namiotu. Bezskutecznie wypatruję jakiegoś punktu zaczepienia. Jest ciemno, niewyobrażalnie ciemno. Nie widzę żadnej linki, paska, błyszczących zwykle suwaków. Rozszerzam oczy. Nieufnie nasłuchuję. Niepewną ciszę przerywa głuchy huk. Ciężki łomot. Tak daje o sobie znać nadchodząca burza. Ostrzegawcze łupnięcie i warczenie ołowianego horyzontu. Na chwilę wszystko zamiera. Coś ścisnęło mnie w brzuchu. Przecież jestem na wysokości 2600 m n.p.m., w dalekiej Rosji, na

Syberii, prawie 7000 kilometrów od domu. Moje przypuszczenia potwierdza cała seria strzałów jak z karabinu maszynowego. Zrozumiałem, że ze zbocza, pod którym się rozbiliśmy, ruszyła lawina kamienna. Na szczęście nasze namioty stoją na trawiastym dywanie przy brzegu. Tu jesteśmy chyba bezpieczni. Oby jutro była pogoda.

Wczesnym rankiem wychodzę za potrzebą przed namiot. Te kilkadziesiąt sekund wystarczyło, by moje ciało doznało serii nadzwyczajnych przeżyć. Od razu zacząłem cały drzeć z przeraźliwego zimna. Trzęsąc się, obracam głowę na bok – widzę zamarznąętą skorupę potoku. Krajobraz dokoła zatrzymuje mnie jeszcze na chwilę na zewnątrz. Już się chowam do namiotu, dygoczę, łapią mnie skurcze z zimna, ale jeszcze jedno spojrzenie, jeszcze jeden moment. Przecież za chwilę wszędzie słońce i taka sceneria może się już nie powtórzyć. Przede mną pod brunatnymi rumowiskami lśni tafla jeziora, wszędzie wokół piętrzą się dzikie wierchy, od mokrych ścian odbijają się jak od lustra promienie słoneczne. Widać każdy zarys, cień, każdy komin, każde urwisko. A tam wysoko Munku Sardyk z białym lodowcem kontrastującym z głębokim szafirem nieba – takim, jaki można zobaczyć wysoko nad poziomem morza; takim, jakie widziałem na fotografiach z Pamiru i Himalajów.

Po godzinie robi się cieplej. Omijając z prawej strony bulę skalną, położoną centralnie w dolinie, podchodzimy do czoła lodowca i dalej gładkimi płytami wznosimy ku przełęczy pod szczytem. Niezwykle krucha skała wzmacnia czujność i ostrożność. Odcinek od przełęczy na szczyt i z powrotem zabrał nam cztery godziny. Podchodzimy pod kopułę szczytową, trasa robi się coraz bardziej „powietrzna” i wymagająca brawury. Pokonujemy półki, płyty, efektowne konie skalne, wąskie, oblodzone żleby i z pomocą zamontowanych lin stajemy wreszcie na wierzchołku.

Wzrok kieruje się w stronę rozległego Jeziora Chubsuguł, otoczonego gęstymi ostępami tajgi. W oddali zielone świetliste stopy i niezmierzone połacie gór. Spojrzenie skacze z najdrobniejszych szczegółów, urwistych żlebów, występów

skalnych, płatów śniegu, wysuszonych kęp traw, śledzi nieregularne linie, gładkie ściany, oświetlone stoki, zaśnieżone półki, by zagubić się w końcu do reszty w ogłupiającym galimatiasie i gonitwie piętrzących się po horyzont turni, lodowców, firnów, chmur i nieba. Przestrzeń. Tylko i aż. Niezrozumiały nieporządek i niepojęta harmonia.

Autor: Andrzej Muszyński

Źródło: [„Obywatel” nr 2 \(34\) 2007](#)